

Chłodny wiatr sprawił, że zbladły młode liście nad wrocławską fosą. Wrocławianie i liczni podróżni ciekawi miasta ubrani zbyt lekko przemykali się w cieniu NFM, szukając różnych piątkowych atrakcji. Niektórzy z nich (albo z nas?) weszli do łączącego modernizm ze staroegipską prostotą i monumentalizmem gmachu Narodowego Forum Muzyki, gdzie czekała na nich muzyka mówiąca o rzeczywistości w dość findesieclowy sposób.

Nastrój fin de siècle przyniosła melomanom Orkiestra Filharmonii Łódzkiej pod batutą Pawła Przytockiego. Ucieszyłem się, bo dobrze jest poznawać brzmienie różnych zespołów symfonicznych wygodnie i na miejscu, nie musząc odbywać w tym celu mniej lub bardziej dalekich podróży. Przez Łódź czasem przejeżdżam, ale niemal nigdy nie byłem w tym mieście w porze koncertowej. Gdy słuchałem łódzkich filharmoników, odniosłem wrażenie, że orkiestry mają w sobie cechy miejsc, w których powstały. Słyszając pierwsze dźwięki smyczków od razu ujrzałem dziewiętnastowieczny labirynt przemysłowego miasta, oraz secesyjne gmachy pałacików i willi. Łódzcy filharmonicy nie brzmiali tak dobrze, jak nasz rodzimy zespół, który lat wzrasta nieustannie w artystyczną siłę. Tym niemniej spodobało mi się brzmienie wiolonczel, solówki drewna, niektóre odcienie tutti altówek i skrzypiec. Największą wadą była ociężałość blachy wobec reszty zespołu. Tym niemniej ciekawy repertuar przykuwał uwagę melomana, jak i duże doświadczenie dyrygenckie Pawła Przytockiego. Największą atrakcją koncertu była oczywiście Ewa Wolak, dysponująca pięknym kontraltem.



Koncert zaczął się od fragmentów arcydzieła Ryszarda Wagnera, czyli Preludium i Mild und leise (Liebestod) – aria Izoldy z Tristana i Izoldy. Niestety, nie usłyszeliśmy sławnej arii Izoldy, a tylko jej instrumentalną wersję. Liebestod to z jednej strony absolutny szczyt romantyzmu, nie tylko w muzyce, ale ogólnie w sztuce. Wagnerowi w swej operze udało się stworzyć niemal zupełnie nowy język muzyczny oddający miłosną i erotyczną ekstazę. To uniesienie uczuć i zmysłów powiązał on z chłodnym i pełnym cieni średniowiecznym mitem o magicznym eliksirze i fatalnej miłości irlandzkiej księżniczki z rycerzem. Te dwie, z pozoru nieprzystające do siebie płaszczyzny, posłużyły kompozytorowi do ukazania poetycko – filozoficznej sytuacji, w której wola oparta na miłości i pożądaniu triumfuje nad całą rzeczywistością, a nawet nad śmiercią. Ten triumf woli niemal rozbił zastany przez Wagnera język muzyczny i poniósł go w dal, aż do naszych czasów i dalej jeszcze, bo podobnie jak twórczości Beethovena, tak i twórczości Wagnera nadal nie zrozumieliśmy w pełni i nadal ją trawimy. Jeśli nie usmaży nas globalne ocieplenie i nie wybuchnie III Światowa, jeszcze w XXV wieku kompozytorzy i

melomani odkrywać będą tajemnice i prorocze wskazówki zawarte w dziełach Beethovena i Wagnera. W XX wieku wielki Pierre Boulez chciał podpalać opery, lecz skończył będąc jednym z najlepszych interpretatorów Wagnera w dziejach fonografii. Muzyka z Tristana i Izoldy jest arcytrudna dla orkiestr. Trzeba niemal rozjaśniać wewnętrznym blaskiem zadziwiające sploty wznoszącej się w ekstazie, nie mającej końca melodii. Harmonia jest tu gęsta, ale w pozornym gęszczu precyzyjna na miarę największych mistrzów matematyki i renesansowej. Nie ma nagrań i wykonań Tristana i Izoldy, w których wszystko byłoby już na właściwym miejscu i po prostu zachwycało. Zawsze, nawet w największych interpretacjach, zostaje uczucie niedosytu. Zdziwiłem się zatem, że nie najdoskonalsze jeszcze brzmienie Łodzian unaocznilo całkiem sporo ważnych elementów tej muzyki.

Drugą pozycją koncertowego menu były Rückert-Lieder Gustava Mahlera, krótki cykl pieśni oparty na twórczości literackiej orientalisty Friedricha Rückerta. Mamy w tych pieśniach próbę wniknięcia w istotę wszechrzeczy wychodzącą od zagadnień istoty miłości czy zapachu lipy. Jest hymn do monistycznej zasady bytu, jak i pożegnanie ze światem, które na koncercie mieliśmy okazję podziwiać w niezwyklej formule Liebestod Izoldy. O ile Liebestod była zaproszeniem skierowanym wobec całej światowej kultury do fin de siècle, o tyle pieśni Mahlera to koniec wieku w pełni, oczywiście spóźniony o kilka lat wobec kalendarzowego końca wieku (ale jak wiemy, ten się skończył z czternastoletnim opóźnieniem). Ewa Wolak swoim ciemnym, równym w emisji głosem, imponującym także w zaskakująco czystej i krystalicznej górze, zaśpiewała Rückert-Lieder wspaniale. Orkiestra nie w pełni wspierała śpiewaczkę, za bardzo była w tle, ale, ku mojemu zdumieniu, solówki oboju d'amore były naprawdę świetne. Gdyby większa ilość Łodzian poszła tę drogą udałoby się uzyskać Mahlerowski efekt zanurzenia w wielowymiarowej przestrzeni, tak przecież ważny dla tej filozoficznej i kresowej muzyki.

W drugiej części usłyszeliśmy Stanisław i Anna Oświecimowie – poemat symfoniczny op. 12 Mieczysława Karłowicza, prawykonany rok przed tragiczną śmiercią kompozytora w Tatrach w 1909 roku. Tak o kanwie literackiej utworu pisał sam Karłowicz:

„Ponieważ podanie o Stanisławie i Annie Oświecimach nie jest prawdopodobnie znane szerszemu ogółowi, przeto autor pozwala sobie podać je tutaj w kilku słowach. Stanisław, wychowany z dala od domu rodzicielskiego, zobaczył po raz pierwszy siostrę swą Annę jako już dorastającą panienkę. Oboje zapłonęli ku sobie gorącą miłością, ale zdając sobie sprawę z tego grzesznego uczucia, walczyli z nim, lecz nadaremnie. Wówczas udał się Stanisław do Rzymu, gdzie udało mu się po długich błaganiach nakłonić Ojca Św. do udzielenia błogosławieństwa na związek z siostrą. Gdy jednak powrócił do domu rodzicielskiego, zastał siostrę na marach. Stanisław niedługo przeżył siostrę. Kapliczka w Krośnie kryje zwłoki kochającej się pary, która nie zaznała szczęścia na ziemi i którą dopiero śmierć połączyła”

Do tego dzieła mam duży sentyment, gdyż mam nieco dalszą rodzinę w Krośnie i wielokrotnie mijałem kaplicę Oświecimów podczas pobytów w tym pięknym Małym Krakowie. Łódzcy Filharmonicy zagrali nawiązujące do Strausowskiej melodyki dzieło dobrze, był to od strony wykonawczej najmocniejszy moment koncertu. Możemy tylko żałować, że Karłowicz umarł tak wcześnie, bo gdyby pożył jeszcze dekadę, albo dwie, zważywszy na Wielką Wojnę, być może to on, a nie Szymanowski byłby „tym drugim po Chopinie”. Fascynacja niemożliwą miłością, która jednak wpisała się mocniej w historię i mit niż większość miłości możliwych, łączy dzieło Karłowicza z Tristanem i Izoldą Wagnera. Tak oto koncert zatoczył tematyczne koło, a my mogliśmy delectować się fin de siècle także w polskim stylu. Pozostaje mi tylko apel do zdolnych kompozytorów – nie

jeźdźcie w skaliste góry, unikajcie wspinaczek i przepaści.
Tych ostatnich nie w muzyce, ale w górach, tylko i wyłącznie w
górach...